

Mój dziadek, kiedy miał sześćdziesiąt lat, wziął mnie na kolana i tajemniczo poinformował:

- Kiedy już, synku, będziesz po czterdziestce, to przyjdzie Berger i mocno namiesza w twoim życiu.

Przestraszyła mnie wizja spotkania z tajemniczym Bergerem, ale dziadek uśmiechnął się pod wąsem i dodał:

- Nic się nie bój – Berger przychodzi i odchodzi.

Dziadek zmarł dwadzieścia lat temu. Z pamięci uleciało wiele wspomnień, ale to o Bergerze zostało w mojej głowie.

Ja pierdolę, mam czterdzieści pięć lat! Siedzę w knajpie i piję kolejnego dużego drinka (wódka z colą). Z każdym pociągnięciem zimnego napoju, składam sobie w myślach życzenia. Żadnych konkretów, ot jakieś drobiazgi o bogactwie, sławie i tym podobne bzdury. Uśmiecham się do kelnerki, nawet puszczam do niej oko, ale odwzajemnia mi tylko zawodowym skrzywieniem ust, a w odpowiedzi na moje „oczko”, wraz z następnym zamówieniem, pojawia się kelner. Mam wrażenie, że doniosła już koledze o tym, że jakiś stary zboczeniec na nią poluje.

Cholera, co za życie – stwierdzam w duchu. Płacę za alkohol i opuszczam ciepłą knajpę.

Na dworze chłodno, bo ja jestem listopadowy, więc zima za pasem i na ciepélko nie ma co liczyć.

Mam na imię Albert i jestem samotnikiem. Właśnie, nie samotny, tylko samotnik. Dzisiaj mówi się na takich singiel, ale jeszcze do niedawna mówiono stary kawaler, a właściwie: kawaler z odzysku, bo jeszcze wcześniej byłem mężem. Z tamtych czasów zostało mi bycie ojcem, bo ojcem jest się raz na zawsze.

Pracuję w firmie handlowej, na jakimś bliżej nieokreślonym stanowisku. Ani to kierownik, ani to zwykły pracownik - takie małe państwo w państwie, chociaż o całkowitej niepodległości raczej mówić nie można. Zarabiam nieźle, co nie znaczy, że wystarcza na wielkie szaleństwa w stylu wakacji w Egipcie, ale też nie zamartwiam się, czy wystarczy do „pierwszego”, chyba, że moje córki mają specjalne wydatki, a trzeba przyznać, że te mnożą się jak króliki w Australii. Z drugiej strony cieszę się, że mogę sprawić im przyjemność; wyrzuty sumienia, że nie jestem z nimi, są wtedy znacznie mniejsze.

Właśnie dzwoni telefon.

- Cześć kolo (tak mnie czasami nazywają), wszystkiego naj – słyszę ich głos w słuchawce.

- Ale sprawiłyście mi przyjemność – odpowiadam ucieszony.

- Jak tam? – dopytują.

- Nieźle. Mam czterdzieści pięć lat i czuję się całkiem, całkiem.

- Bo ty jeszcze nieźle ciacho jesteś, tato.

Trafiają mnie tym określeniem. Prosto w moje ego, w samą dziesiątkę tej małej istotki, która tylko czeka na takie słowa, by zacząć rosnąć, i rosnąć, i rosnąć...

- Tato? Jesteś?

- Jestem, jestem. Zamyśliłem się.

- No, to dobra. My zmykamy na impre. Jeszcze raz wszystkiego naj. Całuski.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć - już się rozłączyły. Z uśmiechem na ustach, gratuluję sobie w duchu, że mam takie fajne i mądre córki. A potem, moje rozbudzone ego, zaczyna delektować się „niezłym ciachem”. Przesadzają – próbuję być skromnym, ale po chwili, ten mały potwór wybija mi skromność z głowy. No, faktycznie: źle nie jest. Spoglądam w szybę witryny sklepowej. To, co widzę prezentuje się nienajgorzej – modny ubiór (zawdzięczam to córkom, które od czasu do czasu zaciągają mnie, do którejś z galerii handlowych i wybierają ciuchy – niezbyt młodzieżowe, ale też dbają o to, żebym nie wyglądał

jak „stary dziad”), fryzura ala Bruce Willis (to pomysł na łysienie; kiedy już nie można było nic z tym zrobić, ogoliłem głowę do skóry - teraz zostawiam sobie dokładnie 0,8 mm włosów i czuję się z tym dobrze), dwudniowy zarost, który nadaje mi dodatkowego uroku, modne okulary, dzięki którym mam intelektualny, jak określiła koleżanka z pracy, wygląd i figura, której, pomimo dwukilowej nadwagi, nie muszę się wstydzić. Mam metr osiemdziesiąt osiem wzrostu, a to również powoduje, że jestem w miarę atrakcyjnym (skromność, skromność!) facetem. Oczywiście są rzeczy, które chciałbym w sobie zmienić, ale któż nie ma wad, a te moje to jednak same drobiazgi.

Z zamyślenia wyrывa mnie okrzyk. Oglądam się. Za mną stoi dziewczyna, tak na oko, dwudziestoletnia. Taksuję ją spojrzeniem. Ładna ta mała – myślę sobie.

- Cholera – klnie dziewczyna.

- Co się stało? – pytam, a ona pokazuje ręką spódnice.

Teraz już wiem. Dżinsowa spódnica jest cała mokra i oblepiona szarą breją – kombinacją stopniałego śniegu i piasku.

- No, to faktycznie problem – próbuję ją pocieszyć.

- I co ja teraz zrobię? Za pół godziny miałam być na przesłuchaniu. Nie pójde w takim stroju...

- A może pani zdąży przebrać się w domu i wrócić na czas? – podpowiadam.

Spogląda na mnie uważnie.

- Pomysł dobry, ale odpada. Mieszkam na drugim końcu miasta. Nie ma szans, żebym zdążyła – odpowiada zrezygnowana.

Korci mnie. Oj, jak mnie korci, żeby to powiedzieć...

- Mieszkam sto metrów stąd i jeśli pani się mnie nie boi... – w tym momencie na mojej twarzy pojawia się najmiłszy uśmiech, na jaki mnie stać – ...to zapraszam do siebie. Przetrze pani spódnice i wysuszy. Mam suszarkę bębnową – dodaję szybko, żeby sprawa była jasna.

Spogląda na mnie uważnie i przypatruje się przez chwilę. Mam wrażenie, że trwa to wieczność. Uśmiech, ten najmiłszy, nie schodzi z mojej twarzy, ale różnie może być i za chwilę mogę dostać w twarz...

- Zgoda – wyrывa mnie z zadumy. – Chodźmy.

Wypuszczam z ulgą powietrze, ale tak, żeby nie zauważyła.

- Więc chodźmy – rzucam wesoło i ruszam w stronę domu.

Idziemy w milczeniu. Słysząc tylko chlupotanie butów w śniegu. Zastanawiam się, czy nie zostawiłem bałaganu, czy na środku pokoju nie rzuciłem skarpetek, albo bielizny... Znowu, z zadumy, wyrывa mnie głos dziewczyny.

- Mam na imię Marta, a pan?

- Albert. Albert jestem.

- Ładnie. Ładnie i nietypowo.

Kiedyś miałem kompleksy na punkcie swojego imienia. Dzieciaki śmiały się ze mnie i dokuczały, ale wraz z wiekiem, złość na rodziców, którzy obdarzyli mnie takim imieniem, minęła. Przyzwyczailem się i pogodziłem z tym faktem, tym bardziej, że kobietom podobało się moje imię, a w chwilach ekstazy uwielbiały wykrzykiwać: Albercik, Albercik...

- Dziękuję. Mnie też się podoba – podziękowałem dziewczynie.

Po chwili byliśmy na miejscu.

- Tutaj mieszkam – wskazałem dziewczynie masywne drzwi do kamienicy.

- No, no... - powiedziała z podziwem.

- Oddziedziczyłem to mieszkanie po rodzicach, a oni po swoich – żadna w tym moja zasługa – próbowałem się tłumaczyć, ale dziewczyna stała przed drzwiami z miną, z której mogłem wyczytać szacunek, respekt, a może nawet większe zainteresowanie moją osobą.

- Zapraszam do środka – powiedziałem otwierając drzwi.

Weszliśmy do klatki. Włączyłem światło.

- Drugie piętro – rzuciłem i ruszyliśmy pod górę.

Kilkadziesiąt schodów później byliśmy już w moim mieszkaniu.

- Proszę się rozgościć, tam jest łazienka – wskazałem drzwi. – Na półce leżą czyste ręczniki.

Skinęła głową i weszła do łazienki. Usłyszałem chrzęst klucza, a potem szum wody lecącej z kranu...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

msh, dodano 04.10.2010 09:24

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.